

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia



– Przyzwyczałam się, że w poniedziałki jest dostawa na Dworcowej. Czasem zastanawiam się tylko, czy zdążę na Dubois, żeby któraś z kobiet nie sprzątnęła mi sprzed nosa ciekawej kurtki. Zbliża się zima, a w mojej szafie brakuje porządnego futerka – wyznaje Agata Sulikiewicz i pokazuje mi kolekcję swoich okryć wierzchnich. Nie brakuje płaszczów w kolorach od jaskrawej żółci po indygo i fukcję. Wszystkie pochodzą z drugiej ręki. Rzeczy-

„W łóżku z Diorem”

Zaprowadzę Cię do miejsca, gdzie szczęście łączy się z bólem. Zapewniam, że nie chodzi tutaj o salę porodową. Tam na chwilę staniesz się panną młodą, pracownikiem McDonald's lub Marilyn Monroe. Wystarczy odrobina chęci, sokoli wzrok i trochę siły w rękach. Buszowanie – czas, start!

ny. Dla chcącego nic trudnego – śmieje się Agata.

Dzięki temu, że w trzeciej klasie liceum spędzała godzinę

wydać na sweterek więcej niż dwadzieścia złotych, a ten akurat kosztuje trzydzieści, chowam go w sprytnych miejscach i przycho-

robię koronkę, skrócę dół i tym sposobem zostanę królową nocy – dodaje zadowolona.

O noszonych przez siebie rze-

mamy zoo. Wybucha śmiechem, gdy znajduję czarny strój kominiarza... Przezornie łapię się za guzik i chcę przymierzyć ten substytut wszelkiej pomyślności. Niestety, za wąski w pasie. I pomyśleć, że jestem kobietą, a ów strój nosił mężczyzna... Nie dowierzam, gdy Agata przymierza czapkę pracownika restauracji KFC. Tym razem wychodzimy z pustymi rękoma, ale na pewno tutaj wrócimy, gdy będziemy potrzebowały strojów na bal przebierańców.

Znów na podium!

Z radością informujemy, że nasza koleżanka – Patrycja Pietruszka, uczennica klasy IIa dziennikarskiej, została laureatką X Ogólnopolskiego Turnieju Reportażu im. Wandy Dybalskiej organizowanego przez X LO we Wrocławiu pod patronatem „Gazety Wyborczej”.

Tekst Patrycji pod tytułem W łóżku z Diorem został wybrany spośród 224 prac uczniów szkół ponadgimnazjalnych z całej Polski. Gratulujemy i życzymy Patrycji kolejnych sukcesów!

Zespół redakcyjny „Szlifu”

wiście, brak jest futerka. Jeżeli w ogóle zmieści się jeszcze w tej czterodrzwiowej szafie...

Agata jest mieszkanką Wrocławia i świeżą absolwentką liceum. Jej rodzice pracują w dużych firmach i zarabiają sporo. – To nie jest tak, że brakuje mi pieniędzy i muszę kupować używane rzeczy – z dumą stwierdza Agata. Największą frajdę sprawia jej możliwość zaopatrywania się w oryginalną odzież. Ceni sobie ciekawy styl. Nie zadowala jej kupno bluzki w sklepie sieciowym. Jest w siódmym niebie, gdy znajdzie swoje „cudo” z drugiej ręki, misternie upchnięte pomiędzy maskotki, stare pidżamy i pościel. To kobieta z klasą. Wie, co jest modne. Z uwagą krytyka ocenia moją torebkę. Od dziś już wiem, że nie powinnam takiej nosić. Jej czasy świetności minęły w zeszłej dekadzie...

Zamarzła, czekając przed lumpeksiem

W poniedziałki wstaje z łóżka dwie godziny wcześniej. Biegnie do lumpeksu przy ulicy Dworcowej i ustawia się jako pierwsza przed drzwiami. Dzień dostawy odzieży używanej koniecznie musi zaliczyć. Jej przygoda zaczęła się w klasie maturalnej i trwa do dzisiaj.

– Kiedyś uznawałam to za zenujące, bo przecież któryś ze znajomych mógł mnie tam zobaczyć. Wkładałam w związek z tym duże kapelusze i ciemne okulary, efekt był niezły – wspomina Agata. Dopiero jakiś czas temu udało jej się przewyciężyć wstyd. Godzinę przed otwarciem, z uśmiechem na twarzy, wyczekuje godziny ósmej.

– Najgorzej jest zimą, kiedy doskwiera mróz, a ja stoję w bezruchu...

Nie chciałabym mieć jednak napisane na nagrobku: „Zamarzła, czekając przed lumpeksiem”, dlatego wyposażałam się już w ciepłe getry i kubek termicz-

przed zamkniętym lumpeksiem, zdała z języka polskiego. – To brzmi, jak niezły paradoks, ale przed otwarciem czytałam lektury i udało mi się zaliczyć wszystkie sprawdziany z ich treści. Było to tym lepsze, że nie musiałam słuchać starszych pań polemizujących ze sobą, dlaczego akurat pomarańczowy kolor poszerza, a tabletki antykoncepcyjne nie dają pożądanego rezultatu – śmieje się Agata i przez szybę lumpeksu przy ulicy Dworcowej obserwuje, gdzie najlepiej się udać, aby nie przegapić żadnej „perełki”.

Wybieraj: albo szpilki, albo stopa

To nie jest tak, że wejdzie się do pierwszego lepszego lumpeksu i trafi na torebkę Escady czy szpilki od Louboutina. Żeby znaleźć się w posiadaniu czegoś ciekawego bez dodatkowych ekscesów, trzeba chyba urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą. Agata któregoś razu została uderzona koszykiem, kilka dni później nie mogła ruszyć stopą... – Kobieta biegła jak szalona po gladiatorce, które zauważyła na wystawie. Nadepnęła mnie obcasem i usłyszałam chrupnięcie własnych kości. Przez kilka dni nie mogłam dojść do siebie – wspomina. Wiele razy zdarzało się, że dziewczyna musiała dosłownie walczyć o swoje. W lumpeksach kobiety wydzielają sobie ubrania z rąk. Agacie nieraz ukradziono coś, co miała w koszyku. Do dziś nie może przeżyć nowej sukienki, którą mogła nacieszyć się dosłownie przez pięć minut. Przypomina sobie sytuację ze starszą panią, która wbiega do „lumpu”, pakuje milion rzeczy do torby, nie patrząc, co to takiego, i komentuje, że „to dla wnuczki”. Agata zaczęła robić identycznie. Najpierw zbiera z wieszaków wszystko, co ma fajny kolor i krój, a następnie przegląda.

– W dniu dostawy często jest drogo. Gdy wiem, że nie chcę

dzić w dniu, kiedy cena wszystkich ubrań zostaje obniżona – podkreśla Agata i śmieje się, że właśnie teraz okazuje się, jak słuchała nauczyciela etyki w liceum.

czach z lumpeksów opowiada w samych superlatywach. Dobiera do nich stylowe dodatki, na które wreszcie może sobie pozwolić. Kiedyś, gdy ubierała się w gale-

Docieramy w okolice nieczynnego Dworca Świebodzkiego i wchodzimy do „Stylowni”. Pierwsze, co rzuca się w oczy – kobieta w białym, która krzyczy: „Złodziejki, oddajcie mi moją bluzkę”. Najprawdopodobniej ktoś z przymierzalni obok połakomił się na prywatną garderobę tej pani.

Naszą podróż kończymy na lumpeksie sieci „Jomo” przy ulicy Braniborskiej. Trafiłyśmy na dwudziestoprocentową obniżkę. Przymierzalnie z numerkami, czyściutko, wszystkie ubrania posortowane. Gdyby umieścić ten ciucholand w galerii handlowej, przyjąłby się całkiem dobrze. – Mogę się pochwalić, że śpię w łóżku z Diorem. To tutaj kupiłam piękną pościel z limitowanej kolekcji. Aż sama nie mogłam się nadziwić – komentuje Agata i ze swoją stuprocentową kobiecością liczy, ile wydała na dzisiejszych zakupach. Sto dwadzieścia złotych i szafa znów się nie domknie.

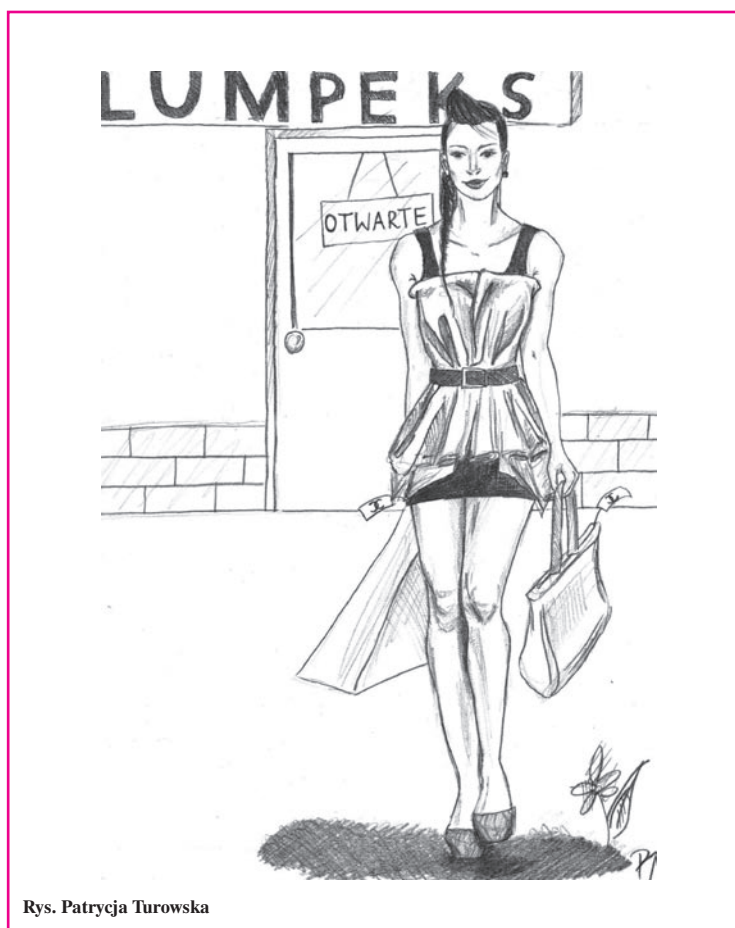
– Na szczęście dokupiłam już dwa regały, na wypadek gdyby... – mówi moja towarzysząca, a ja wtrącam na poczekaniu: gdyby... do kolekcji miało dojść futerko, płaszcz, cztery nowe sukienki i śpiochy dla dziecka, którym Agata również nie mogła się oprzeć...

Dzięki temu, że robi zakupy w lumpeksie, jest kobietą światową – nosi skandynawskie ubrania, jest punktualna, jak szwajcarski zegarek, bo zawsze może się tak zdarzyć, że secondhand otworzą dziesięć minut wcześniej, a gdy idzie ulicą słyszy: „Ta na bank jest z Ameryki”.

To pewien sposób na życie, który nie wymaga ani większych znajomości, ani góry pieniędzy. Grunt, żeby nie bać się wyróżniać z tłumu i oślepić swą oryginalnością.

– Prawda Agato, że to nie-trudne?

PATRYCJA PIETRUSZKA



Rys. Patrycja Turowska

Chciałam zostać kominarzem

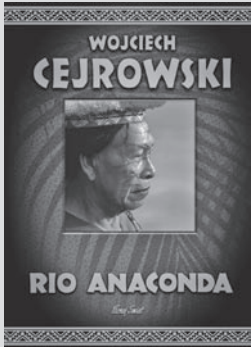
Dziewczyna zaprasza mnie na przechadzkę po jej ulubionych miejscach. Zaczynamy od lumpeksu przy ulicy Dubois. Wchodzimy i zastanawiam się, czy rzeczywiście dobrze trafiłyśmy. Ubrania na wieszakach, wycenione, ładnie dobrane kolory ścian i uprzejma pani, która zdaje się, że Agatę zna już na pamięć. Porozumiewawczo wymieniają się uśmiechami i dziewczyna zmierza ku wieszakom. Przegląda, wyciąga sukienkę całą w cekinach. – Idealna na imprezę, do-

riach handlowych, mogła jedynie pomarzyć o naszyjnikach za więcej niż pięćdziesiąt złotych. Dużo ubrań przerabia. Myśli o bufkach i falbankach. Zrobienie z „małej czarnej” sukni balowej nie stanowi dla Agaty większego problemu. Wreszcie podchodzimy do kasy. Za cekinową sukienkę, dwie torebki i bluzę Adidasa płaci niewiele ponad dwadzieścia złotych.

W pełni zadowolona, kieruje nas do secondhandu przy ulicy Grabiszyńskiej. Zastanawiam się, czy grzecznie jej nie przeprosić i wyjść na zewnątrz. Tutaj dopiero

Okiem
Recenzenta

Rio Anaconda



Oto ostatnia, jak dotąd, książka autorstwa słynnego ekscentrycznego podróżnika Wojciecha Cejrowskiego. Tytułowej rzeki, Rio Anacondy, próżno szukać na mapach. Cejrowski sam tę nazwę ukuł, aby biali ludzie nie byli w stanie odnaleźć terenów, które tym razem opisał. Ruszył na poszukiwania prawie wymarłych, dzikich plemion Amazonii. Jak sam pisze, jesteśmy być może ostatnimi pokoleniami, które mogą doświadczyć kultury pierwotnych ludów. Opowieść napisana jest w charakterystycznym dla autora gawędziarskim stylu, pełnym wtrąceń i dygresji. Intryguje już sam początek książki. Mianowicie jesteśmy świadkami pierwszego kontaktu Białego z Dzikim, obserwując sytuację z obu perspektyw. Oto pierwszy, w trakcie fotografowania, czuje nagle ukłucie w kark, po czym osuwa się na ziemię. Drugi z kolei, widząc wroga, strzela ku niemu zatrutą strzałką i jest pełen zdziwienia, że ten dziwak o nienaturalnym kolorze skóry tak uparcie broni się przed śmiercią.

Dopiero po długim czasie odkrywamy, iż niedoszłą ofiarą był sam Cejrowski, a przed śmiercią ocalił go jedynie skórzany pasek od aparatu zawieszony na szyi. Opisuje również spotkanie z niedoszłymi porywaczami w jednym z południowoamerykańskich miasteczek. Pewni bracia bliźniacy od niechcienia informują bohatera, że jest śledzony przez nich od czterech dni. Może jednak spać spokojnie i to z przyczyn bardzo prozaicznych.

„Jesteś z Polski, a tam się nawet dodzwonić nie można. Poza tym słyszeliśmy w waszej ambasadzie o średnich pensjach w twoim kraju. Naprawdę nie musisz się niczego obawiać. Żaden zawodowiec cię nie porwie, bo to nieopłacalne” – usłyszał.

Książkę czyta się tym ciekawiej, że bogata jest w informacje na temat indiańskiej kultury – pojmowania czasu, sposobu traktowania śmierci, roli tańców i świąt plemiennych, a także te o życiu seksualnym, czytaniu w myślach czy pozycji szamanów w wiosce. Oprawa graficzna jest bardzo czytelna, kluczowe wydarzenia podkreślone są odmienną kolorystyką czy czeionką.

Samego Cejrowskiego można lubić lub nie, ale pomimo wszystko RIO ANACONDA powinna zająć honorowe miejsce w każdej domowej bibliotece. Polecam!

BARTŁOMIEJ KOPCIUCH

Członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej mieli okazję uczestniczyć w kinie Helios w premierze filmu „Och Karol 2”, konferencji prasowej oraz spotkaniu z reżyserem i odtwórcami głównych ról.

Amant mimo woli

Wzemy najjaśniejsze świecące młode gwiazdy polskiego kina, zmieszajmy drogie ubrania oraz kosztowne i idealnie czyste samochody, dorzucimy piosenkę Natalii Kukulskiej, nieco monotonna fabułę i humor na miarę polskiej komedii romantycznej. I dużo, dużo seksu. Mamy hit.

Piotr Wereśniak, reżyser i scenarzysta takich produkcji jak „Kryminalni”, „Na dobre i na złe” czy „Kiler”, nakręcił ostatnio kinowy przebój, czyli „Och Karol 2”, będący remakiem komedii z 1985 roku w reżyserii Romana Załuskiego. Na ekranie zobaczymy młodych i pięknych aktorów, Piotra Adamczyka w

roli Karola i jego kobiety: Małgorzatę Sochę, Martę Żmudę-Trzebiatowską, Małgorzatę Foremniak, Katarzynę Zielińską, Annę Muchę oraz Katarzynę Glinkę.

Fabuła filmu jest prosta: Karol, czarujący, dobrze zarabiający trzydziestoparolatek, nie potrafi odmawiać kobietom, a fakt, że w każdej widzi coś niezwykłego i

pragnie ją uszczęśliwić, tylko pogarsza jego sytuację. Dzieli więc swój czas pomiędzy cztery kochanki i nie dopuszcza, by kobiety dowiedziały się, że nie są „tymi jedynymi”. Sytuacja komplikuje się, gdy jedna niewiasta wyznaje zagubionemu Karolowi, że jest z nim w ciąży, a inna panna pragnie go poślubić. Kochanki dowiadują

się o zdradach Karola i postanawiają się na nim zemścić.

Film nie jest zły, bo choć bohaterowie są mocno schematyczni oraz wyidealizowani, aktorzy robią wszystko, byśmy uwierzyli w historię nieporadnego amanta. Czujemy jego ból i życiowe zagubienie, szczególnie gdy Karol wyznaje swoje problemy psychoterapeucie. Bez wątplenia znajdzie się też jakiś mężczyzna, który będzie chciał – podobnie jak tytułowy bohater – uwodzić najpiękniejsze kobiety mimo woli. Ale coś mi mówi, że nie każda chciałaby spotkać takiego faceta.

MAGDA HAGLAUER

Karolku, wyjdiesz za mnie?

Niczym tytułowy bohater na wrocławskiej premierze filmu „Och Karol 2” w reżyserii Piotra Wereśniaka pojawił się w towarzystwie pięknych kobiet – głównych bohaterek: Katarzyny Glinki, Katarzyny Zielińskiej, Małgorzaty Foremniak oraz Marty Żmudy-Trzebiatowskiej. O roli filmowego amanta i pracy na planie z PIOTREM ADAMCZYKIEM rozmawiały Milena Maliniak i Renata Ruszczyk

▶ Grał Pan już różne role, między innymi Ojca Świętego w „Karol, człowiek, który został papieżem” czy przystojnego mężczyźnię mającego swój osobisty harem w „Och Karol 2”. W którym wcieleniu czuł się Pan lepiej?

– To są tak odmienne postaci, że nie można ich porównać. W każdej roli czuję się zupełnie inaczej. Praca aktora to ciągłe wyzwania – im większe, tym ciekawsze i zawsze staram się w tym zadaniu spełniać w stu procentach.

▶ Czy inspirował się Pan filmem „Och Karol” z 1985 roku?

– W „Och Karol 2” musiałem przeprowadzić widzów przez prostą historię, która ma rozbawić i sprawić, że oglądający przez ponad półtorej godziny będą się dobrze bawić oraz uśmiechać. Losy tamtego Karola zostały pokazane w przełożeniu na dzisiejsze realia.

▶ Jak ocenia Pan najnowszy film w reżyserii Piotra Wereśniaka

na tle polskich komedii, które zazwyczaj są krytykowane?

– Skoro takie uczucie towarzyszy widzowi po wyjściu z kina, to znaczy, że polskie produkcje rzadko bawią. Z przyjemnością słuchałem ludzi wychodzących z seansu, którzy mówili: „To jest naprawdę śmieszna komedia”. Cieszę się więc, że nasza jest inna. Warto zaznaczyć – to komedia obyczajowa, a nie typowo romantyczna.

▶ W filmie gra pięć kobiet. Wszystkie wzdychają do jednego mężczyzny – tytułowego Karola. Opiekuńczy i czuły, lecz jego największym problemem jest to, że nie potrafi odmawiać. Czy taki typ mężczyzny istnieje w codziennym życiu?

– Oczywiście! (śmiech) Jest ich bardzo wielu i radzę wszystkim paniom na nich uważać. Większość mężczyzn chciałoby przeżyć takie przygody, ale w życiu łatwo się pogubić i wpaść w sidła kobiet. Ten film to przestroga dla facetów.

▶ Miał Pan jakieś problemy czy opory związane z zagranieniem scen erotycznych w filmie?

– Są to takie momenty, w których człowiek zachowuje się naturalnie. Rozumiem, że erotyzm przyciąga i komedia tego typu jest gatunkiem filmowym, który zgromadził wielu widzów, ale mimo to akcentowałbym szcze-

gólnie słowo komedia, ponieważ ów erotyzm istnieje w życiu codziennym, więc nie jest niczym zaskakującym.

▶ Jak ocenia Pan pracę nad tym projektem?

– Podczas zdjęć na planie każdy był zawodowcem. To wszystko widać w filmie.

▶ Dziękujemy za rozmowę.



Piotr Adamczyk i Milena Maliniak

Fot. Monika Parda

Kobieta Karola

Piękna, zgrabna, przebojowa. Zawojowała mały i wielki ekran, scenę teatralną również. Nowych wyzwań, jak „Taniec z gwiazdami” i „Mam talent”, także się nie bała, a teraz zachwyca widzów w filmie Piotra Wereśniaka „Och Karol 2”. Z MAŁGORZATĄ FOREMNIAK rozmawiała Karolina Kula

▶ Kiedy pojawia się Pani na ekranie w programie „Mam talent”, obserwujemy zupełnie inną osobowość niż tą, którą możemy dostrzec w bohaterce „Och Karol 2”.

– W „Mam talent” nie gram roli, jestem naturalna. Jeżeli wzbudzam zaskoczenie u widza, że mogę być również taka, jak moja bohaterka z filmu „Och Karol 2”, to znaczy, że dobrze wykonałam swoje zadanie aktorskie.

▶ Jak Pani czuła się w swojej roli? Którą z postaci lubi Pani najbardziej?

– Kobiety Karola to zestawienie różnorodnych osobowości. Wanda jest przebojowa, charakterna, wymagająca, a zarazem posiadająca dużą dozę fantazji. Spodobała mi się od razu.

▶ Czy nie było żadnych spięć między aktorkami? W końcu w

filmie zagrało aż sześć pięknych i utalentowanych kobiet!

– Wszyscy o to pytają!

▶ Kiedy razem pracuje tyle pań, nietrudno o spięcia.



Fot. Joanna Cymbor

– To nasza praca, nasz zawód. Jesteśmy na planie. Wykonujemy powierzone nam zadanie aktorskie. Nie miesza się życia prywatnego z zawodowym, bo to jest nieprofesjonalne. Jeżeli jest różnica zdań co do pomysłu na scenę, to są to tylko spięcia twórcze, pozytywne.

▶ Pani ulubiona scena z filmu?

– Wiele ich było, bo dobrze się przy nich bawiłam. Ale były też stresujące, np. scena, gdy Karol przykuwa mnie kajdankami do łóżka. Tą sceną rozpoczęłam moje zdjęcia w tym filmie. Duży stres!

▶ Czy we współpracy pomogła znajomość między aktorami?

– Oczywiście. Podstawą dobrej współpracy na planie są dobre dobrani aktorzy. Piotr Wereśniak miał intuicję, stworzył bardzo przyjazną ekipę. Zabrzm-

to śmiesznie, ale między kobietami Karola była chemia.

▶ A czy między Panią a Piotrem Adamczykiem była?

– Była, jak najbardziej! (śmiech)

▶ Czy z racji zaangażowania obojga aktorów, czy z osobowości Pani partnera?

– Jeżeli widz uwierzy w prawdziwość sceny między parą aktorską, uwierzy w tę „iskrę” między nimi, to znaczy, że aktorzy dobrze to zagrali. Gdyby aktor przeżywał wszystkie sceny do końca, zwłaszcza te łóżkowe, pewnie by się wykończył (śmiech).

▶ Śmiała się Pani, pierwszy raz oglądając film?

– Nie! Byłam bardzo zestresowana. Oglądając siebie na ekranie to prawdziwa męka (śmiech).

Jestem strasznie krytyczna wobec siebie. Najważniejsze, żeby widz był zadowolony.

Siłaczka

Studentka pedagogiki, założycielka świetlicy środowiskowej, niepozorna dziewczyna, która nie wyróżnia się niczym spośród innych. Nie wybrała łatwej drogi. Codziennie spotyka się z dziećmi, które wychowuje ulica. Mimo to nie poddaje się i uważa, że tylko taka praca nadaje jej życiu sens.

Anna Jagiełło początkowo pracowała jako pedagog w szkole podstawowej, jednak praca za biurkiem nie była dla niej satysfakcjonująca, a potrzebujących rozmów uczniów niewiele. Zrezygnowała z posady szkolnego moralizatora i założyła świetlicę środowiskową. Tam również nie czuła się spełniona. Młodzieży nie przybywało, mimo rozwieszanych kolorowych plakatów informujących o jej działalności, dokupionych grach czy komputerach. Nie chciała czekać. – Zaczęłam szukać dzieci w środowisku, które uważają za swoje własne, w którym czują się najlepiej, najbezpieczniej. Często takim miejscem bywa właśnie ulica – mówi Ania.

Trudne początki

Ulica Generała Karola Świerczewskiego w Ruszowie. Szare budynki, ciemne zaułki, ruiny starej fabryki. Ławeczka przed blokiem, która jest ośrodkiem spotkań tułej młodzi. Kilku zakapturzonych, poruszających się po kątach jak cienie. – Kiedyś miałam okazję przechodzić tą ulicą.

Nie ukrywam, że trochę się bałam. Było późne popołudnie i ani jednej żywej duszy. Cicho, pusto i głucho. Tu nawet latarnie słabiej świeciły. Mimo że nikogo nie widziałam, czułam się obserwowana – opowiada Jagiełło. – Wtedy właśnie w mojej głowie zrodził się pomysł. A może by tak zorganizować tym dzieciakom czas? Zebrałam znajomych i wspólnie postanowiliśmy zająć się ulicą Karola Świerczewskiego – dodaje.

Zabawę czas zacząć

– Któregoś dnia przyszliśmy na Świerczewskiego, taszcząc ze sobą wielką torbę, z której wyciągnęliśmy piłki, skakanki, bloki rysunkowe i kredki. W ciągu kilkudziesięciu minut pojawiła się wokół nas grupa dzieci, od maluchów po nastolatki, zainteresowanych, o co właściwie nam chodzi. Zaczęło się niewinnie, od zabawy. Potem kolejne spotkania i przełamywanie lodów – mówi Ania. – Wszystko wymagało czasu i wysiłku – dodaje. – Musiałam zdobyć ich zaufanie, pokazać im, że doceniam to miejsce, które dla nich było prze-

cież najważniejsze. Bawiłam się z nimi w ruinach starej fabryki, zaczęłam nawet ubierać się na sportowo, czym próbowałam zyskać ich szacunek – wspomina Anna. – Poznałam też ich kodeks. Dwie podstawowe zasady brzmiały: nie kapować, co przetłumaczyli mi jako nie donosić na swoich, i druga reguła – nie być frajerem, nie zostawiać swoich rzeczy byle gdzie, z nadzieją, że gdy po nie wrócimy, one najwzajemniej na świecie będą na nas czekać. Nie będą. Tylko frajerzy w to wierzą – śmieje się. – Nie chciałam być ulicznym moralizatorem, nie miałam zamiaru nagle tłumaczyć tym dzieciakom, co jest dobre a co złe, jak mają robić i co mówić. Z czasem przekonałam ich do siebie oraz do świetlicy – mówi Ania.

– Ofiarowaliśmy im pomoc w lekcjach, utworzyliśmy koła muzyczne, teatralne i plastyczne, które o dziwo cieszyły się sporym zainteresowaniem. Dzięki wsparciu finansowemu gminy kupiliśmy używane komputery, gry planszowe, wspólnie z dziećmi zorganizowaliśmy także



Fot. Anna Jagiełło

zbiórkę książek – opowiada Judyta Świniuch, przyjaciółka Ani i współzałożycielka świetlicy.

– To dobra alternatywa dla nicnierobienia – dodaje z uśmiechem.

Siłaczka XXI wieku

Ania Jagiełło, zapytana, dlaczego akurat zainteresowała się dziećmi ulicy, długo szuka odpowiedzi. Ze swoim dyplomem mogła przecież zająć się czymś zupełnie innym, dobrze płatnym, niewymagającym poświęceń, bezpieczniejszym. – Nigdy nikogo nie przekreślałam. Nie rozumiem, kiedy jednym dzieciom daje się szansę rozwoju i możliwość realizacji marzeń, a inne z góry są skazane na niepowodzenie, bo

nikomu na nich nie zależy – mówi Ania. – Dlatego właśnie wspólnie ze znajomymi chcemy docierać do takich dzieciaków i pokazać im, że wszystko jest możliwe. Choćbyśmy pomogli tylko jednemu dziecku, to i tak będziemy z tego dumni – dodaje.

Anię Jagiełło i jej przyjaciół łączy wspólna, rzadka w dzisiejszym świecie wyjątkowa postawa pełna cierpliwości, dobroci, pasji i zaangażowania w pomoc potrzebującym. Praca w środowiskowej świetlicy w Ruszowie daje im coś o wiele cenniejszego niż pieniądze. To uśmiech na twarzy dzieci, które otrzymują wsparcie i ciepło, które dzięki nim odkrywają radość życia.

ALICJA PIELICHOWSKA

KRÓTKO, A TREŚCIWIE

Czarna magia

Dwudziesty pierwszy wiek niesie ze sobą ogromne zmiany. Żyjemy w świecie nowinek technologicznych. Większość ludzi nie nadąża za tempem rozwoju cywilizacyjnego, jak również nie ma bladego pojęcia, co dzieje się na rynku komputerowym. Jest to dla nich czarna magia.

Dlaczego dzieje się tak, że nie umiemy rozróżnić do czego służy karta graficzna, procesor czy dysk przenośny? Dlaczego edukacja w szkole ogranicza się tylko do podstawowych elementów i programów komputerowych? Skoro przyszłość ma być oparta na komputerach, to każdy powinien wiedzieć, co dzieje się na bieżąco. Poza tym należałoby zwrócić uwagę na to, że im więcej dzieci uczą się w szkole, tym lepiej poradzą sobie w pracy, nie będą tracić czasu na przyswajanie nowych programów. Poza tym uczniowie szkół podstawowych szybko chłoną wiedzę i są ciekawi nowości. Jednak mimo to w niektórych poziomach edukacji jest beznadziejny.

– W podstawówce informatykę miałam przez trzy lata. Przez cały ten czas uczyliśmy się rysować w programie Paint. Nie dość, że straciliśmy tyle czasu, to nie nauczyliśmy się zbyt wiele. Przeważnie rysowaliśmy pisanki wielkanocne albo kartki świąteczne. Poza tym nasza nauczycielka zbliżała się do emerytury, więc nie ma co się dziwić, że nie do końca znała się na najnowszym komputerach, a co za tym idzie, nie mogła nam przekazać nic więcej niż same podstawy – mówi Marta Herbszt, uczennica XII LO. Niestety, ludzie po studiach informatycznych nie satysfakcjonuje praca w podstawówce czy w gimnazjum. Szukają bardziej prestiżowych form samospełnienia.

– Zakres wiadomości, jaki zdobywamy w podstawówce i gimnazjum, jest niewielki. Dopiero w dalszej edukacji ta wiedza jest poszerzana. W szkołach

nie ma różnorodności oprogramowania, pracujemy cały czas na starych wersjach Windowsów, zamiast poznać Linuxa lub MacOS. Systemy Windows są dziurawe jak ser szwajcarski w kontekście zabezpieczeń. Włamanie jest dziecinnie proste. Dla porównania, dla Windowsa jest kilka milionów wirusów, a Linuxa i MacOS jest ich w granicach od kilku do kilkunastu. Poza tym do Linuxa nie są potrzebne żadne antywirusy, a w Windowsie zabezpieczenia te są niszczone razem z systemem. Kiepskie oprogramowania są nie tylko w szkołach, możemy je znaleźć również w wielu miejscach pracy – mówi Sławomir Korzeniewski, uczeń technikum informatycznego.

Skoro komputeryzacja staje się coraz bardziej znaczącą dziedziną naszego życia, to nie powinniśmy bagatelizować nauki o komputerach. Bez tej wiedzy zginiemy, a na razie jest to dla nas czarna magia. Jesteśmy na takim etapie technologicznym, że gdyby doszło do burzy słonecznej, to jakiś obszar Ziemi straciłby dopływ prądu na dłuższy czas. Straty liczone by w miliardach dolarów. Potrzebni są ludzie, którzy zapobiegą temu oraz w miarę szybko naprawią zepsute urządzenia. Już teraz ciężko sobie poradzić bez telefonów komórkowych, laptopów, telewizorów, zmywarek, pralek, satelitów itp. Za parę lat nie będziemy musieli nic robić, bo maszyny zrobią to za nas. Ale jeśli coś się zepsuje, to warto byłoby wiedzieć, jak to naprawić, a nie wydawać dużo pieniędzy u mechanika czy informatyka.

MAGDALENA BERNAT

Oglądać, nie widząc

Nie widzą, lecz słyszą i czują – nie tylko zapach, ale i dotyk. Dzieci niewidome, ludzie tacy jak ty czy ja. Choć mają w życiu trudniej, nie są gorsi od innych. Robią wszystko to, na co może pozwolić sobie w pełni sprawny człowiek. Na przykład oglądanie filmów w pierwszym kinie dla niewidzących w Polsce. Tak, oglądanie, bo nawet utrata wzroku nie jest w stanie im tego uniemożliwić.

Ośrodek Szkolno-Wychowawczy na ulicy Kamiennogórskiej we Wrocławiu to przytulna, nowoczesna szkoła z internatem. Uczą się tam dzieci niedowidzące i niewidome. Ich dzień rozpoczyna się jak u każdego z nas. Wczesna pobudka, śniadanie, lekcje i inne zajęcia. Jednak środa jest dniem wyjątkowym. To wtedy, w godzinach wieczornych, otwierają się drzwi do czytelnicy i rozpoczyna się kółko filmowe założone przez Zbyszka Kowerczyka.



Fot. Joanna Cymbor

Na zdjęciu Zbyszek Kowerczyk

Dawno temu

Wszystko miało swój początek w czasie pojawienia się polskiego magnetowidu w latach siedemdziesiątych XX wieku. Dzięki niemu Polacy mogli oglądać filmy zarejestrowane na taśmach magnetycznych. Urządzenie to cieszyło się niesłabnącym powodzeniem. Otwierano coraz więcej wypożyczalni z filmami o dobrej jakości. Jednym z najczęstszych klientów był i nadal jest pan Zbyszek, który od dwudziestu lat zajmuje się dziećmi niewidomymi.

– Zauważyłem, że uczniowie chętnie oglądali telewizję. Siadali

bardzo blisko, prawie że z nosem na ekranie, by śledzić obraz. Niewidomi zajmowali dalsze miejsce i próbowali wyobrazić sobie akcję. Pomyślałem, że skoro jest takie duże zainteresowanie, mógłbym tym jakoś pokierować – opowiada.

I tak zaczęła się jego przygoda z dużym ekranem dla niewidzących.

Małe kino

– Rozstawiam krzesła, niektórzy siedzą nawet na stołach czy podłodze, ustawiam rzutnik multimedialny, włączam płytę w odtwarzaczu i pokaz rozpoczęty – tłumaczy Kowerczyk. – Staram się, aby wybór filmu był jak najbardziej trafiony. Sam wiem, co lubią dzieci, ale zależy mi na tym, aby produkcje były nie tylko atrakcyjne, ale i wartościowe. Wkrótce wyemitujemy „Zaćmienie” na podstawie sagi Stephenie Meyer, więc sala będzie oblegana głównie przez dziewczyny, które uwielbiają przygody wampira i nastolatki.

Cały mechanizm polega na audiodeskrypcji. Jest to technika narracji, dzięki której umożliwia się dzieciom niewidomym odbiór treści wizualnych, na przykład podczas oglądania filmów w kinie, spektakli w teatrze czy obrazów w muzeum. Za pomocą werbalnych określeń, komentuje się, co dzieje się w danym momencie na ekranie.

– Jest jesień. Nocą po drodze przejeżdża samochód. Wokół są drzewa. Pada deszcz. Kierow-

ca jest przestraszona kobieta... – opisuje opiekun.

Jeszcze niedawno to właśnie pan Zbyszek relacjonował dzieciom poszczególne sytuacje w filmie. Teraz uczniowie dobierają się w grupy – paru niewidomych i jedna osoba niedowidząca. To ona odgrywa rolę takiego narratora.

– Na Zachodzie są już kina z audiodeskrypcją – zakłada się słuchawki i lektor opowiada. W Polsce również powoli zaczynają nagrywać filmy z takim trybem. Narrator ogląda wcześniej ekranizację, poznaje bohaterów, związek wątków i dzięki temu wie, co stanie się w każdej scenie. Jest mu wtedy zdecydowanie łatwiej przekazać obraz za pomocą słów. Dla mnie był to problem, ponieważ produkcje oglądałem równocześnie z dziećmi. Ale jakoś sobie radziłem, bo ćwiczenie czyni mistrza – mówi żartobliwie.

Magia?

Mimo że nie widzą i tak mówią, że oglądali.

– Ludzie dziwią się mojej pracy – oświadcza pan Zbyszek. – Nie mogą uwierzyć, że dzieci rzeczywiście widzą obraz, tyle że oczyma wyobraźni. Natomiast ja uważam to za coś zupełnie normalnego. Niewidomi i silnie niedowidzący mają możliwość korzystania z życia w pełni, nawet jeżeli chodzi o zwykłe oglądanie telewizji. Robią wszystko to, na co pozwala sobie każdy, i nie muszą się obawiać, że coś w naszej kruchej egzystencji może ich ominąć.

JOANNA CYMBOR
EWELINA JASIŃSKA

Między parkietem a wodą

Nie trzeba dużo myśleć, żeby dojść do wniosku, że pływanie i koszykówka są zupełnie innymi sportami. Parkiet, piłka, drużyna, a z drugiej strony woda, obcisłe stroje i czepki – nic do siebie nie pasuje. Jednak gdyby spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy, moglibyśmy znaleźć małe podobieństwa.

Dobrym przykładem połączenia tych dwóch dyscyplin jest Timothy Duncan – amerykański koszykarz grający do dziś w drużynie San Antonio Sprus. Nie każdy wie, że czterokrotny mistrz NBA jako dziecko był świetnie zapowiadającym się pływakiem. Zaskakujące? Zwykle myślimy, że aby być najlepszym w swojej dziedzinie, trzeba od małego trenować, jednak pozory mylą. Tim w wieku trzynastu lat okazał się jednym z najlepszych zawodników na czterysta metrów stylem dowolnym. Był także rekordzistą wyspy Saint Croix na pięćdziesiąt i sto metrów, a ustanowione przez niego czasy nie zostały pobite do dzisiaj. Jednak, jak to w życiu bywa, nie zawsze jest kolorowo.

– Motywacja stanowi bardzo ważny element w każdym sporcie, bez tego nie osiągniemy wyznaczonego celu. Także wsparcie bliskich i trenera jest niezastąpione. Nie można też zwątpić w swoje możliwości – mówi Przemysław Mazan, trener sekcji pływackiej AZS-AWF Wrocław. Niestety

Duncanowi tego zabrakło. Kiedy miał czternaście lat, zmarła mu matka, niedługo potem huragan zniszczył jedyną pływalnię na wyspie. Młody chłopak załamał się i mimo że był bardzo utalentowany, stracił motywację i przestał trenować. Swoją karierę poświęcił koszykówce. Wydaje się niewiarygodne, jednak Tim poradził sobie z nowym zadaniem. Już w początkowym okresie kariery udało mu się podnieść poziom klubu, w którym grał. Razem z Davidem Robinsonem stworzyli tak zwany duet „Twin Towers”, czyli bliźniacze wieże, dzięki którym drużyna poprawiła się o trzydzieści sześć wygranych meczów w stosunku do poprzedniego sezonu. Być może wcześniejsze treningi na basenie pomogły mu w koszykarskich zmaganiach...

– Pływanie to jedna z niewielu dyscyplin sportowych, w których wysiłek fizyczny wykonywany jest w warunkach odciążenia organizmu. Sytuacja taka sprawia, że tkanki kostna i mięśniowa mają ułatwione warunki do wzrasta-

nia oraz prawidłowego rozwoju – mówi dr Andrzej Klarowicz, wykładowca i trener w AZS-AWF Wrocław.

Czy to dlatego Duncan tak wyrósł, a jego kariera bardzo szybko zaczęła się rozwijać? Nie możemy zapominać o uwarunkowaniach genetycznych, ale nawet naturze trzeba czasem pomóc.

– Wykorzystanie płuc wzrasta u pływaków do dziewięćdziesięciu procent ogólnej powierzchni, gdzie w normalnych warunkach wykorzystujemy około trzydziestu. Poza tym pływanie świetnie rozwija koordynację ruchową i gibkość – dodaje Klarowicz.

Czy te cechy nie są także potrzebne w koszykówce? Jak widać, te dwa sporty nie są tak różne, oczywiście pod względem treningowym, a Tim Duncan najlepszym przykładem na to, że w życiu warto być kreatywnym i czasem trzeba zmienić zainteresowania, szczególnie kiedy brak nam motywacji lub warunków do robienia czegoś innego.

PAULINA KOLASIŃSKA



Ilustr. Krystyna Kulisevicz

Felieton Szlifu

Ostatnimi czasami postowie własną frekwencją w Sejmie zmusili nas do tego, byśmy cieszyli się nawet z tak prozaicznego powodu, że do niego przybyli, zasiedli w ławie i byli na tyle łaskawi, że wzięli udział w obradach. Przychodzą, bo muszą i nic więcej. W ruch idą gazety, telefony komórkowe lub po prostu aparaty gębowe. Nadchodzi czas głosowania. Zaraz, zaraz, o czym była ta poprawka? – zapewne zastanawiają się niektórzy, jak na przykład Mirosław

Drzewiecki, który podczas czytania ustawy pisze esemesy. Właśnie tak w naszym ukochanym kraju ustanawia się prawo, według którego żyjemy.

Podobnie było z poprawką do ustawy o prawie prywatnym międzynarodowym, zgłoszoną przez PiS. Wnosiła ona między innymi

Nastąpiła konsternacja. Co właściwie uchwaliliśmy? Rozpoczęła się burzliwa dyskusja. Najtragiczniejsze jest to, że posłowie zechcieli powtórzyć głosowanie. Co oznacza, że w ciągu dziesięciu sekund zmienili poglądy. Nie potrafię tego zrozumieć. Pomylili się? Nie słuchali? Czy może dla jaj wcis-

wadzenie takich przepisów i papież za te dziesięć miesięcy z pewnością nie będzie miał nikomu za złe, że wyraża się chęć legalizacji związków homoseksualnych. Przykry jest również fakt, że żaden poseł nie pomyślał nawet przez chw-

łę, że ustawa „Prawo prywatne międzynarodowe” jest sprzeczna z konstytucją. Gdzie się podziało ich wykształcenie, czy choćby znana już doskonale umiejętność lawirowania między przepisami?

PAWEŁ NAKRASZEWICZ

W Sejmie na pikniku

o uściślenie zapisu o związku małżeńskim, czyli ma nim być tylko i wyłącznie związek kobiety oraz mężczyzny. Wniosek został odrzucony jednym głosem – 210 do 209!

nęli przycisk „przeciw”, ponieważ stwierdzili, że inni wcisną „za”? W końcu Polska to katolicki bastion i ta ustawa nie ma prawa przejść, a jednak.

Powód był taki czy inny, to nieważne. Świadczy on o tym, z jakim podejściem postowie wykonują swoje obowiązki, pracę, za którą dostają wynagrodzenie, nie mówiąc o odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa, w końcu odpowiadają za miliony Polaków. Ale co tam! Pieniążki na konto wpływają i to się liczy.

Wracając do kwestii powtórzenia głosowania. Na konferencji PiS poseł Hofman wyjął bardzo ważny powód, który z pewnością powinien przekonać wszystkich, jak wielkim złem jest odrzucenie owej poprawki: „W roku beatyfikacji Jana Pawła II nie powinno robić się Polakom takich prezentów”. Oczywiście, że nie. Rok 2012 to z pewnością lepszy czas na wpro-

Wszeczną odwiedzić

Młodzieżowa Wszecznicznica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

Sławomir Chelchowski, rzecznik prasowy Straży Miejskiej Wrocławia, odwiedził Młodzieżową Wszeczną Dziennikarską 14 stycznia. Poinformował nas między innymi, jak wyglądają testy, które musi przejść każdy ubiegający się o stanowisko w Straży.

21 stycznia gościliśmy Aleksandrę Ślęczkę – dziennikarkę miesięcznika „Bliżej Ciebie”, absolwentkę XIII LO oraz była nauczycielką „Szlifu”. Dzięki pani Oli dowiedzieliśmy się, jakimi prawami rządzi się pismo dla kobiet i czym różni się ono od zwykłego periodyku.

Spotkanie z panem Krzysztofem Żurkiem – lektorem telewizyjnym i spikerem radiowym pracującym między innymi w Radiu Zet, Radiu Żółte Przeboje i RMF FM, odbyło się 28 stycznia. Dowiedzie-

liśmy się, co sprawia, że tekst czytany przez lektora filmowego nie jest wiernym tłumaczeniem oryginału oraz o tym, jak niski głos pomaga w radiu.

Gościem na spotkaniu 4 lutego była pani Renata Dąbrowicz, policjantka. Wyjaśniła nam, dlaczego kobiecie w mundurze dużo łatwiej jest dogadać się z agresywną grupą młodzieży. Największym zainteresowaniem cieszyły się pokazane przez naszego gościa „gogle nietrzeźwości”, które imitowały zaburzenia wzroku po spożyciu alkoholu, narkotyków czy dopalaczy.

11 lutego naszym gościem był Łukasz Pałka, dziennikarz internetowego portalu money.pl oraz zapalony podróżnik. Opowiedział nam o Kazimierzu Nowaku – człowieku, który zwiedził Afrykę, podróżując rowerem.



Rys. Magda Haglauer

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszecznicznicy Dziennikarskiej

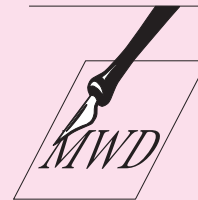
Adres redakcji: ul. Hauke-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
e-mail: szlif_mwd@o2.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszecznicznica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu

Opiekun: Wojciech Chądzyński
Przewodnicząca MWD: Paulina Kolasińska tel. 600 453 310
Redaktor naczelna: Patrycja Pietruszka tel. 727 538 243
Z-ca red. naczelnej: Daria Borowska
Sekretarz redakcji: Magda Haglauer
Przygotowanie do druku: I-Bis Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. (071) 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszecznicznicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszecznicznica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.30 do XIII LO przy ul. Hauke-Bosaka 33.